

Poligon Kongo

7 kwietnia 2009

7 kwietnia przypada ustanowiony przez ONZ Międzynarodowy Dzień Pamięci o ludobójstwie w Rwandzie. Warto przy tej okazji przypomnieć sobie tę jedną z największych tragedii i porażek ONZ w historii. Temat ten, rzadko poruszany przez media, niewspominany jeszcze przez podręczniki historii, jest jak najbardziej aktualny – skutki rwandyjskiej masakry z 1994 roku są odczuwane do dzisiaj.

Do eskalacji konfliktu między zamieszkującymi tereny Rwandy plemionami Tutsi i Hutu doszło 6 kwietnia 1994 roku, kiedy, wg różnych źródeł, zginęło od 800 tys do ok. 1 mln osób. Jego geneza sięga daleko wstecz, jeszcze przed okres okupacji niemieckiej i belgijskiej, poprawnie politycznie nazywaną kolonializmem. Ludy zamieszkujące te tereny, nacechowane mentalnością plemienną, zwalczały się od zawsze, a XX wiek w Rwandzie to w zasadzie okres nieustannej wojny domowej. W 1993 roku, w czasie krótkiego okresu pokoju, niechęć Hutu do Tutsi zaczęła gwałtownie narastać. Trwało to aż do kwietnia 1994, gdy prezydent Habyarimana (pochodzący z Hutu) zginął w zamachu. O atak oskarżono Tutsi. To wydarzenie stało się bezpośrednim pretekstem do masakry. Uzbrojeni w maczety i magazynowaną od dawna broń palną, Hutu zaczęli mordować przedstawicieli znienawidzonego plemienia.

DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA TERENEM KOLEJNYM WALK

Mniej więcej tyle o Rwandzie wie polska opinia publiczna, wiedzę czerpiąc ze sporadycznych nawiązań w mediach i, skądinąd godnych polecenia, filmów fabularnych, takich jak „Shooting dogs” Michaela Catona-Jonesa czy „Hotel Ruanda” Terry’ego George’a. Jednak doniesienia medialne są rzadkie, a filmy nie pokazują czasów obecnych. Konsekwencje ludobójstwa są nadal odczuwalne. Wojska rządowe (przy władzy są Tutsi) wciąż walczą z partyzantami Hutu. Obecnie największym terenem

walk jest granicząca z Rwandą od zachodu Demokratyczna Republika Konga (nie mylić z leżącą jeszcze dalej na zachód Republiką Kongo), gdzie po zniszczeniu sił Hutu przez Rwandyjski Front Patriotyczny, z obawy przed zemstą, schroniła się większość członków Hutu. Część uciekła do Tanzanii, Ugandy i Burundi.

Na terenie DR Konga działa ugrupowanie bandytów nazywające się Demokratycznymi Siłami Wyzwoleńczymi Rwandy (FDLR). Ich celem jest odzyskanie władzy w Rwandzie, jednak ich ofiarami są przede wszystkim cywile DR Konga, niekoniecznie lokalni Tutsi. 20 stycznia b.r. armia Rwandy, nie po raz pierwszy, wkroczyła na tereny kongijskie z zamiarem rozprawienia się z bojówkami. Niekochające się przesadnie państwa, tym razem połączyły siły w celu wytropienia członków FDLR. Żołnierze pobiegali przez miesiąc po dżungli, postrzelali do rebeliantów, którzy w odwecie zamordowali kolejne grupy cywilów, urządzili uroczystą paradę w Gomie i wrócili do siebie. Cel, czyli zniszczenie kongijskich baz FDLR, nie został osiągnięty, choć „siły rebeliantów zostały poważnie osłabione”. Jest jasne, że ofensywa powinna trwać dłużej, jednak sam fakt zaistnienia nawet tak krótkotrwałego porozumienia pomiędzy mającymi tak burzliwą historię państwami, jest godne podziwu.

ŚMIESZNE SANKCJE ONZ

Do konfliktu, od czasu do czasu, włącza się także ONZ. W marcu nałożyło sankcje (o zgrozo!) na czterech oskarżonych o zbrodnie wojenne przywódców FDLR. Teraz panowie Callixte Mbarushimana, Stanislas Nzeyimana, Pacifique Ntawunguka i Leopold Muhyambere będą mieli utrudnione podróżowanie po świecie i lekkie kłopoty finansowe. Stosowne kroki wobec ludzi, podobno odpowiedzialnych za masowe gwałty, rekrutowanie dzieci i morderstwa.

Ofensywa zakończona, FDLR rzekomo zdziesiątkowana, a w kongijskie prowincji Kivu, ulubionej kryjówce rebeliantów – jak donosi organizacja humanitarna Oxfam – ze strachu przed

mszczącymi się bojownikami, dziesiątki tysięcy ludzi opuszcza domy. Organizacja informuje także o tym, że zagrożeniem dla cywilów jest również bohaterska, choć słabo opłacana, więc chętnie „wzbogacająca się” w napotkanych wioskach, armia rządowa.

POLIGON KONGO

Jak widać, kwestia konfliktu Tutsi i Hutu absolutnie nie skończyła się po masakrze z 1994. W Rwandzie jest względnie spokojnie tylko dlatego, że centrum walk przesunęło się o parę kilometrów. Kongo najwyraźniej jest dobrym polem walki dla wielu rebeliantów, bo bojownicy Hutu nie są jedynym lokalnym problemem zbrojnym.

Jeszcze do marca b.r. w Kivu działał CNDP (Narodowy Kongres Obrony Ludu). Rebelianci, należący do tego ugrupowania, to Tutsi, walczący z kongijskim rządem. Ich przywódca, generał Laurent Nkunda nie uznawał porozumienia o zakończeniu wojny domowej z 2003 roku. Na szczęście ten konflikt został, miejmy nadzieję, że na trwałe zażegnany – w marcu podpisano rozejm.

Również do marca b.r. w DR Kongo szalały wojska ugandyjskie i południowosudańskie. Tym razem celem operacji, o kryptonimie Lightning Thunder, było schwytanie słynnego Josepha Konyego, lidera Lords Resistance Army. Nie udało się to, choć naturalnie „siły wroga poniosły znaczące straty”. Akcja miała szansę odnieść skutek, ale tym razem rząd w Kinszasie stracił cierpliwość i poprosił obce armie o opuszczenie terenów Konga. Zobowiązał się również do kontynuowania pościgu na własną rękę.

Jak widać Kongo stało się wręcz poligonem dla afrykańskich bandytów, wojowników, rebeliantów wszelkiej maści (zazwyczaj po prostu morderców). Jak zwykle giną przede wszystkim cywile, ONZ wydaje sankcje, a publiczne media w państwach, interesujących się Afryką ze względu na swoją kolonialną przeszłość, chętniej mówią o zdumiewającym rozwoju

gospodarczym na południu kontynentu niż o kolejnych bezimiennych ofiarach.

Autor: Dominik Tomaszczuk

Na podstawie: Reuters, BBC, Afryka24

Źródło: [Wiadomości24.pl](https://wiadomosci24.pl)